

POWIEŚĆ: NOWELA

Rok XX

Warszawa, dnia 10 Listopada 1928 roku

Nr. 45

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

MECHANIZM ŻYCIA

6)

— Ach, dobrze — wykrzyknęła z serdeczną wdzięcznością. I, ponieważ wobec nieoczekiwanej delikatności Sobieszczaka poczuwała się do obowiązku usprawiedliwienia, dodała zbolalym głosem:

— Sama nie wiem, co mi się stało.

— No, no, roześmiał się rubasznie Sobieszczak — miejmy nadzieję, że jak się pani prześpi, to przejdzie.

— Pan sobie Bóg wie co wyobraża — zaprotestowała zawstydzona, zapominając o nowych prawach, jakimi darzyła ją zmiana losu.

Sobieszczak obejrzał się na Józia, który zajęty był przekładaniem jakichś paczek w drugim końcu sklepu i dodał szeptem, tak, żeby go pomocnik nie mógł usłyszeć:

— Ja wiem wszystko...

— Co?

— Wiem, z kim się pani wczoraj bawiła.

Panna Czesława w jednej chwili odzyskała jasność umysłu. Czując za sobą poparcie Przeclawskiego, i to jej dawało odwagę. Odżył w niej bunt przeciwko Sobieszczakowi. Zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem.

— Co to ma znaczyć? — wycedziła przez zęby, już według arystokratycznego zwyczaju. Wiedziała z powieści o wielkim świecie, że arystokraci, chcąc okazać komuś lekceważenie, cedzą wyrazy przez zęby. Bunt jednakże był w jej życiu czemś tak niezwykłym, że równocześnie przeraziła się swojego odruchu, ale nim zdążyła usta otworzyć, żeby się usprawiedliwić, Sobieszczak już ją uprzedził.

— O cóż się pani obraża?

I dodał, kręcąc z uznaniem głową:

— No... no.

Widocznym było, że paliła go ciekawość, żeby się dowiedzieć szczegółów o zabawie swej kasjerki z prezesem. Wysłał Józia ze sklepu i znów zwrócił się do panny Czesławy, która, korzystając ze zwolnienia, ubierała się już do wyjścia.

— Ale pani przecież dopiero wczoraj poznała Przeclawskiego.

— Tak.

Sobieszczak był zupełnie zbity z tropu. Panna Czesława mogła już wyczytać w jego spojrzeniu nie tylko bezbrzeżne zdumienie, ale i głębokie uszanowanie. Po pierwszym pytaniu, dalsze jakoś mu nie szły. Onieśmielał się poprostu.

— No, no — powtórzył po raz drugi, kręcąc głową.

Na szczęście, ciekawość Sobieszczaka spotykała się z równie gorącym pragnieniem zwierzeń ze strony panny Czesławy. Po chwili milczenia sama podjęła rozmowę.

— Myśmy dość długo rozmawiali, nim pan przyszedł.

— I odrazu panią zaprosił?

— Oświadczył mi się.

Sobieszczak cofnął się w tył.

— Jaki oświadczył?

— Wychodzę za niego zamaż.

— Za Przeclawskiego?

— Za Przeclawskiego.

— Wie pani, że dużo awantur w życiu widziałem, ale takiej... No to pani lada dzień sklep rzuci.

— Ma się rozumieć.

— Nie — pani chyba kpi sobie ze mnie — wybuchnął nagle Sobieszczak. — Poznał panią w południe i wieczorem się oświadczył.

— Miłość nie zna terminów — odparła sentencjonalnie panna Czesława.

Sobieszczak umilkł bezradny. Kult, jaki żywił dla Przeclawskiego, nie pozwalał mu również, jak i kasjerce, dopuścić myśli, żeby Przeclawski mógł niepoważnie robić obietnicę małżeństwa. Wiedział, że panna Czesława nie posunęłaby się do tak jaskrawego kłamstwa, które zresztą zbyt łatwo by się wydało. Zaskoczyło go więc to, co usłyszał, jako jakieś przewracające do góry nogami wszystkie jego pojęcia o życiu i o ludziach zjawisko. Kasjerka wydawała mu się teraz wyjątkowo piękną, wytworną, rozumną i prawie wściekły był na siebie, że tego wszystkiego nie widział przedtem. Panna Czesława po wybuchu, nad którym nie mogła zapanować, przełękała się trochę swojej szczerości. Robiła sobie wyrzuty w duszy, że skoro Przeclawski nie upoważnił jej sam jeszcze do ujawniania swoich zamiarów, to może nie należało o tem mówić. I mimo, że przykro jej było prosić Sobieszczaka o dyskrecję, uznała to za konieczne. Ale tym razem znalazła już w Sobieszczaku słuchacza pełnego delikatnej intuicji, który w lot odgadywał jej myśli. I przyznawał jej zupełną słuszność. Po pięciu minutach rozmawiali, jak para serdecznych przyjaciół, którzy się dzielą dobrymi radami. Wreszcie Sobieszczak zaimponował panie Czesławie najzupełniej. Orzekł, że jako przyszła pani Przeclawska, nie może już siadywać w sklepie, żeby się nie pospolitować. I zarazem, aby ją uchronić od dwuznacznej sytuacji wobec Przeclawskiego, zobowiązał się wypłacać jej, aż do ślubu, pełną pensję.

W jego intencji mieściły się w tem zapewne dalsze wyrachowania na przyszłość, ale panna Czesława rozrzewniona nie chciała ich się domyślać.

III.

Nazajutrz po kolacji z panną Czesławą Przeclawski obudził się o godzinie szóstej rano i odrazu zaczęła go denerwować obawa, że już z powrotem nie zaśnie i znów będzie w ciągu całego dnia niewyspany i zmęczony. Był to objaw, który go prześladował już od jakichś dwóch lat. Budził się zawsze o godzinę albo dwie zawcześniej, z uczuciem podrażnienia, które nie pozwalało mu leżeć w łóżku. To niedosypianie ogromnie go wyczerpywało i fatalnie odbijało na całym jego życiu, ponieważ bywały dni, w które chodził jak senny i poprostu nie rozumiał, co do niego mówiono, albo nawet unikał rozmów, lękając się z góry zbyt wielkiego wysiłku, na jaki musiałby się zdobyć, żeby śledzić uważnie bieg cudzych myśli. Pociągało to za sobą odkładanie najrozmaitszych spraw z dnia na dzień i ciągle zaległości w interesach, a ponieważ w usposobieniu miał skłonność do pedantyzmu i punktualności, więc poczucie ciągłego zaniedbywania się irytowało go nietylko ze względu na możliwe niepożądane praktyczne konsekwencje, ale i zasadniczo, jako pewien drażniący dysonans w stosunku do siebie samego. Z początku przypisywał to zbyt wczesne budzenie się różnym zewnętrznym przyczynom i usiłował je usuwać. Z wielkim trudem i kosztami wyszukał mieszkanie, w którym okna kilku pokojów wychodziły na ogród, tak że już go nie dolatywały tam żadne uliczne hałasy, następnie przypuszczając, że go budzi rano światło, które sączyło się przez zwykłe rolety, kazał pozawieszać w sypialni okna czarnymi kotarami, wreszcie zaczął się kłaść bardzo późno, ale i to mu nie pomogło. Przeciwnie, ile razy położył się nad ranem, zawsze po dwóch albo trzech godzinach budził się z fałszywym uczuciem zupełnej rzeźwości. Zrozumiał w końcu, że sam sobie rady nie da, zwrócił się do lekarzy; wszystkie kuracje jednak niewiele mu pomogły. Przeclawski nie miał zresztą o to pretensji do lekarzy ani do medycyny. W głębi duszy zdawał sobie dokładnie sprawę, że nie mogli mu radzić skutecznie, nie wiedząc wszystkiego. Otóż splot tych przyczyn, które go pozbawiały wypoczynku, sięgał w tak tajemne pokłady jego życia, że zwierzenie się z nich lekarzowi stawało się dla niego absolutnie niemożliwe. Nawet nie przez uczucie wstydu. Teoretycznie zdawało mu się, że w tak ważnej sprawie, jak zdrowie, potrafiłby się zdobyć na szczerość, dochodzącą do cynizmu, tylko gdy wyobrażał sobie po takim postanowieniu rozmowę z lekarzem, nie widział możliwości jej przeprowadzenia z powodu, że, jak mu się wydawało, musiałby przynajmniej przez tydzień o różnych rzeczach opowiadać i jeszcze nie opowiedziałby połowy. I w rezultacie ogarniało go zniechęcenie. Czuł, że na to, aby mu poradzić, lekarz musiałby go poprostu zrobić innym człowiekiem, a to był eksperyment, który, jak ironicznie dowcipkował, przekraczał nawet widocznie możliwości samego Pana Boga, skoro od stworzenia świata nie było jeszcze na to precedensu. Czasami uciekał się do podstępów. Szukał znajomości z lekarzami i w towarzyskich rozmowach opowiadał niektóre swoje nerwowe przeżycia, niby to jako historje, z których zwierzali mu się przyjaciele albo które czytał i starał się w ten sposób wydobyć djałgozę i środki kuracji, bardzo często jednak przerywając i bagatelizując w połowie całe opowiadanie pod wpływem nagłej obawy, że słuchający go lekarz mógł się domyślać podstępu. Poza tem po-

ciągała go coraz bardziej medycyna sympatyczna i rozmaite eksperymenty, których bezsensowne streszczenia czytywał w pismach codziennych. Z rozmaitych odżywczych hormonów, zjadających bakterje protobów tworzył sobie fantastyczny obraz życia organizmu ludzkiego i wizje te raz po raz po okresach najzupełniejszego wyczerpania budziły w nim nagle nową wiarę w zasób zdrowia i sił i otuchę do życia. Narkoza taka jednak działała zazwyczaj tylko na kilka dni, poczem znów zaczynał się szamotać z chorobliwymi lękami. Analizując wciąż jaknajdokładniej i z wielką jasnością sądu te swoje uczucia, które musiał uważać za anormalne, nigdy jednak nie brał pod uwagę choroby, jaką przechodził w młodzieńczych latach. To była dla niego sprawa zamknięta i zakończona. Przystudjowawszy w najgłębszym sekrecie odpowiednią literaturę, doszedł do wniosku, że objawy, jakie w sobie obserwował, nie mogły mieć z tamtą chorobą nic wspólnego. I ten jeden wniosek stanowił nieomylny dogmat we wszystkich jego chaotycznych, chwiejnych i nieraz w ciągu jednej godziny zasadniczo sprzecznych urojeniach.

Światem tajemnym, ponurym, dręczącym, w którym sam przebywał i którego ujawnienie przed kimkolwiek choćby w najdrobniejszej części uważałby za hańbę, było jego życie erotyczne. Zdawało mu się, że potrafił je kryć w najzupełniejszej tajemnicy, mimo, że w stosunku do innych ludzi bardzo sceptycznie się zapatrywał na tajemnice. Oczywiście podpatrzono te jego najrozmaitsze zatraćające skandalem przygody i wytworzyło mu to opinię hipokryty i obłudnego świętoszka, co było tyle niesłuszne, że walcząc w swojej działalności społecznej o zasady najsurowszej moralności, poszanowania rodziny i tradycji, Przeclawski czynił to z jaknajgłębszym przekonaniem. Odstępstwa od głoszonych zasad budziły w nim obrzydzenie do siebie samego, ale wobec pokus był bezsilny. Chorobliwa namiętność, jaka go ogarniała, zabijała w nim wszelkie poczucie woli. Mózg miał wciąż pełen lubieżnych obrazów i właściwie stanowiło to stałe tło wszystkich jego myśli. Raz po raz przyplątywało mu się do głowy jakieś zmysłowe urojenie i żył niem, starając się nagiąć rzeczywistość do swojej fikcji. W czasie, gdy zbliżył się do kasjerki ze sklepu Sobieszcza, takim urojeniem stała się Maryśka. Pewnego dnia odżyło w nim wspomnienie spędzonej z nią nocy i rozrosło się nagle w gwałtowną zmysłową tęsknotę. W rzeczywistości nie pamiętał nawet, jak ta pokojówka wyglądała i dlatego mógł się dopatrzeć podobieństwa do niej w pannie Czesławie. Anormalność jego w stosunku do kobiet polegała na tem, że w każdej, która mu się zmysłowo podobała, chociażby w najordynarniejszej ulicznej prostytutce, zakochiwał się odrazu do szaleństwa i przez kilka tygodni, czy czasami chociażby dni, jakie miłość trwała, marzył tylko o tem, żeby ją mieć wyłącznie dla siebie do końca życia. Miłości te kończyły się raptownie, przechodząc w niewypowiedziane obrzydzenie bardzo często po zamienieniu pierwszych kilku słów z istotą, która go przedtem przez szereg tygodni mogła doprowadzać do zupełnego obłędu. Ale w tej chwili zjawiała się jakaś następczyni i rozpoczynała się ta sama historja. Jak ludzie, cierpiący na manję chorób, którzy śmiejąc się z siebie, teoretycznie podlegają wszystkim lękom i wrażeniom urojonej choroby, tak samo Przeclawski cierpiał na manję miłości. Uczucia, o których wiedział z góry, że są fałszywe, dochodziły w nim do najwyższego napięcia.

(D. c. n.).

1)

Mrok wypełniał szalenie obszerny pokój. Szarość wypychała ostatnie zapomniane promienie zachodzącego słońca, łamiące się na metalowych klamrach, poręczach i spinaczach trapezów. Przez otwarte okno wpadł liść przygnany wieczornym powiewem; zaszeleścił cicho po podłodze i padł, jak mała ciemna plama, na bielejący kwadrat ryngu, wydzierający się z ogarniającej zwycięskiej ciemności. Cisza spłynęła na dziwacznie zastawiony pokój, nie maści jej żaden nowy powiew, żadne drgnienie życia.

Minuty płyną leniwie, w głębi domu wielki zegar wybił majestatycznie godzinę, wywołując czarodziejską rezonancję gimnastycznych sprężyn rozwieszonych na ścianach. Ktoś zbliżył się lekko do drzwi. Otworzyły się z trzaskiem, przepuszczając smugę jasności, rozdzieloną ciemną wiotką sylwetką kobiety.

— Dlaczego ciemno, Dan?!

Nacisnęła guzik. Elektryczne światło zalało gimnastyczną salę. Z głębokiego fotela uniósł się mężczyzna, mrużąc osłepione oczy.

— Wróciłaś, Kate, nie słyszałem warkotu maszyny... marzyłem, myślałem o naszym wyjeździe.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem: niepomiernie szeroki w ramionach i chłopięco wąski w biodrach, zarzucone w tył złote, twarde włosy. Elastycznie porwał się z miejsca i cicho, po bokserku przysunął do żony, chwycił ją długimi, zwięzłymi ramionami i całując małe, malowane usta, bełkotał:

— Stęskniłem się Kate, cały dzień przepadasz.

Odpychała go ostrożnie ze śmiechem:

— Zmarzesz mi kredkę z warg, łakomczuchu, dzikusie. Czemuś nieubrany?!

Zwinęła małe pięści i grzmociła go po szerokiej, twardej, umięśnionej piersi. Śmieli się. Odsunął się, udając obronę, atakowała z zapałem, chwycił ustami jej piąstki. Całował. Porwał ją niespodzianie i uniósł do góry, sadzając wysoko na trapezie pod sufitem.

— No, moja pani, proszę się poddać. Przeciwnik uchylający się od walki jest pokonany. Liczę do dziesięciu: raz, dwa, trzy... dziesięć.

Błyskawicznie rzuciła weń jednym, później drugim pantoflem. Zręcznie odskoczył, wołając:

— Za ruchy zakazane dyskwalifikujemy przeciwnika, oznajmiamy, że pani Kate uległa w spotkaniu z Danem Devis'em.

Zbliżył się do żony i zdjął ją z trapezu, sadowiąc w fotelu.

— A teraz zwracam sz. pani niezbędne części garderoby.

Przykląkł i nakładał z powagą małe pantofelki na wierzgające nogi kobiety.

— Jesteś nieznośny brutal, Danie, powalę cię przy pierwszej sposobności.

Chwyciła jego głowę i ucałowała gorąco.

— Oh! wołał wesoło, poddaję się, już jestem pokonany.

Wziął Kate za rękę i wybiegł z nią z pokoju. Rozbawieni, jak małe dzieci, wpadli do jadalni. Okrążyły stół nakryty i zastawiony oczekiwał na nich.

— Proszę się ubrać, — rozkazywała Kate.

Dan posłusznie ruszył do siebie. Ubierał się pośpiesznie. Szkoda mu było każdej minuty, cały dzień nie widział żony.

— Należy skasować te wyjazdy do matki, tembardziej, że obecnie nie będzie jej mógł towarzyszyć. Musi trenować zawzięcie, został wyzwany przez francuza Jean'a, przybył specjalnie do Ameryki, aby się zmierzyć z Devis'em. Od miesiąca pisano o tem spotkaniu, robiono pod adresem Dana uszczypliwe uwagi, że od czasu małżeństwa wziął rozwód z ryngiem, zapatrzony w czarne oczy Kate, zapomniał o obowiązkach, unikał spotkań, trzymając się wciąż zwycięskich laurów przeszłości. Opinia domagała się walki. Jean — Davis będzie największą imprezą bobserską, jaką widziały Stany.

Nie zwracał uwagi na zarzuty, zajęty miłością i żoną, która pochłonęła go całkowicie, niewolniczo. Od roku nie widziano go na ryngu. Nie miał ochoty ani potrzeby walczyć, jego ambicja zapaśnika gasła wraz z rosnącym uczuciem dla Kate. Była wybraną kobietą, jedyną na świecie, poza nią nie znał kobiet i nie chciał znać. Przedtem wyłącznym pragnieniem było zwycięstwo, droga i cel poczyniała się i kończyła na kilku kwadratowych metrach, opasanych sznurami. Dzisiaj szedł szerokim gościńcem radości — posiadania kobiety. Wierzył, że jest jego nagrodą najwyższą, wierzył, jak bałwochwalca. W zaślepieniu miłości nie dostrzegał drobnych wad żony, kokieterji, lekkomyślnej rozrzutności.

Poważne sumy, jakimi rozporządzał przed ślubem, topniały w jej małych rączkach. Dom zakupiony, w którym mieszkali, auto, konie wierzchowe, wszystko szybko pożerało stopy dolarów. Był dostatecznie lekkomyślny, pewny siebie i zbyt kochał, aby się zastanawiać nad tem. Wiedział, że gdy podniesie ostatniego dolara, wystarczy skrzyżować rękawice na czarodziejskim kwadracie ryngu, a rzeka pieniędzy spłynie na niego, jak spływała dotąd. Ostatnio jednak zjawiała się mała chmurka na firmamencie ich pożycia. Kate zaczęła się nudzić — narzekała na samotność, na trywialność otoczenia, szarzyznę i codzienność. Chciała wyjechać do Europy, do Paryża.

— Ach! Danie, — mówiła rozmarzona, kładąc mu czarną główkę na piersi — zabierz mnie do Paryża, do wielkiego świata, do innych ludzi. Jesteś taki silny i potężny, ty wszystko możesz. Pojedźmy, chociaż na parę miesięcy, przecież żyjemy, jak pustelnicy.

Zasadniczo nie sprzeciwiał się jej projektom, mogli wyjechać. Zwrócił się do swego menażera Stocka.

— Stock'e! jak tam moje intersy, — pytał bojaźliwie starego wygi; iloma dolarami rozporządzam? Stock podniósł do góry trzy palce:

— Trzy tysiące, mój chłopcze, ale może być trzysta tysięcy, jeśli przyjmiesz wyzwanie Jean'a.

— Trzysta tysięcy! — zamyślił się Devis, trzysta tysięcy... z tem można wyjechać. — Zgoda.

Stock tańczył z radości.

— Hurra! chłopcze, pokażemy coś Ameryce, zyskasz sławę, zbierzemy wór dolarów. Żegnaj, nie mam czasu, spotkanie za miesiąc, trenuj na zabój, nie top się w słodkich oczach żonki, zostaw na później. Przyślę ci jutro Willa do roboty.

Stało się, spotkanie zdecydowane.

— Pojedziemy do Paryża, Kate, pojedziemy za miesiąc, ale muszę przedtem pokonać Jean'a.

Przyjęła wiadomość radośnie, całowała go po rękach.

— Temi rękoma wywalczysz radość twojej Kate, — powtarzała w uniesieniu, — kochane żelazne pięści.

Wyrwał zawstydzony ręce i oglądał ze zdumieniem twarde, bokerskie pięści.

Zabrał się do roboty. Nie wychodził z gimnastycznego pokoju. Rozciągał sprężyny, skakał przez sznur skakanki godzinami, obijał rozmaite piłki, sparringując z młodym Willym. Z dnia na dzień rosła w nim sprężystość. Mięśnie wracały do gibkości, swobody, ruchy nabierały błyskawicznej szybkości, pięści rozbiegane nieomylnie wybijały ciężki wielokilowy wór i wytrenowaną szczękę żelaznego Willa. Z początku Kate z zainteresowaniem podlotka śledziła ćwiczenia męża, nie opuszczając go ani na chwilę. Po paru dniach, znudzona, poczęła wyjeżdżać autem do matki. Wracała rozpromieniona i wesoła.

— Wyobraź sobie, trzepała pośpiesznie, że poznałam twego przeciwnika Jean'a. Piękny chłopak, Paryżanin, brunet, dowcipny, wesoły. Jego obóz treningowy jest tuż koło domu matki. Cała młodzież ckołiczna spędza tam czas, przypatrują się jego ćwiczeniom. Jest niższy od ciebie i ma prosty nos. Szczęśliwiec!

Spojrząwszy na milczącego męża, zrozumiała, że popełniła błąd. Dan miał złamany nos, co zresztą go „wcale zbytnio“ nie szpeciło. Przypadła do niego, pokrywając go pocałunkami. Odsunął ją szorstko od siebie:

— Nie powinnaś jeździć do tego obozu. Jest moim przeciwnikiem, nie powinnaś przyglądać się jego sposobom, to nie uchodzi.

— Dobrze, Dan, odparła pokornie, ale ja go zaprosiłam do nas, obiecał przyjechać.

Nie odrzekł nic. Naciągnął rękawice i tłukł z pasją piłkę.

Była to pierwsza przykra rozmowa między nimi.

Przypominał sobie wszystko, zawiązując niezgrabnie krawat przed wysokim lustrem swej gotowalni. Otrząsnął pyłek z rękawa i wszedł do pokoju. Kate siedziała przy stole, niecierpliwie bębniąc palcami.

— Nareszcie, pan i małżonek się wygrzebał. — Przyjrzała mu się krytycznie. — Stanowczo ten człowiek nie umie nic nosić! Ktoby pomyślał, że pod tem workowatym, niezgrabnym pokryciem tkwi posąg?! Powinienby urodzić się tysiąc lat temu, najlepiej zdołałaby go własna nagość.

Spojrzała z politowaniem na bezdarnie obwisły węzeł krawata i buchnęła spazmatycznym śmiechem. Obciągał niezdarnie smoking z niewyraźnym uśmiechem, nie pasującym jakoś do twardej twarzy i przełamane go garbatego nosa.

— Slicznie — wycodziła z ironją.

Była dziś stanowczo krytycznie usposobiona. Jean się lepiej prezentował. Paryżanin, to się wie. Dan ją raził. Dlaczego tego nie spostrzegła przedtem.

Ucałował z powagą jej rękę, usiadł niezgrabnie, ubranie pozbawiło go kociej miękkości ruchów. Jedli w milczeniu. Po fali wesołości otulił ich smutek niezrozumiały. Tu przy stole doprawdy wołałaby Jeana. Mąż nużył ją każdym gestem i ruchem, nie mogła się pokonać, grymas niechęci krzywił jej słodkie, podmalowane usta.

Dan odczuł instynktem kochającego, że jego pa-

ni jest niezadowolona. Zresztą od pierwszej złej rozmowy coraz częściej była zasepona. Uśmiech dla niego miała jedynie przed i po powrocie z wizyt do matki, które ostatnio były codzienne. Gdy poprosił, by została w domu, wybuchła histerycznie:

— Sam nie wiesz, czego chcesz, sam mnie unikasz, sypiasz nawet u siebie, zakochałeś się w obrzydliwej twarzy Willa. Tańczysz ze sznurkiem skakanki lub flirtujesz ze stowudziestoma piłkami, jakby na nich się świat kończył. Jesteś brutalny egoista i tyran.

Miała rację. Milczał. Wszak czekało go spotkanie z Jeanem, musiał zarobić trzysta tysięcy, obiecywał sobie później wszystko wynagrodzić.

Po obiedzie wyszli na taras. Park tonął w czarnej wrześniowej nocy. Objął Kate i przyciągnął do siebie. Zanurzył usta w jej włosach:

— Jeszcze dwa tygodnie, dwa tygodnie, a później pojedziemy w świat, do Paryża.

Milczała, drżała w jego objęciach.

— Chłodno, kochanie, odprowadzę cię.

Ujął ją, jak dziewczynkę bezradną, i poprowadził ostrożnie do pokoju.

— Bądź zdrowa, mała Kate, jutro rano będę biegał. Wolałbym, abys mi towarzyszyła konno, obrzydła mi twarda postać Willa.

Skłonił się ceremonjalnie. Zniknęła za drzwiami.

Chłodny jesienny poranek. Ziemia elastyczna, stężona dzwoni pod stopami biegnącego Dana. Obciągnięty w flanelowy kaftan i szerokie spodnie był wielki, wydawał się większy, niż zawsze. Złote włosy odrzucone do tyłu lśniły, jak miedziane sprzączki przy siodle Katy. Zaróżowiona, z rozwianą czarną głową kłusowała na swej „Iskrze“ obok męża. Wyprzedzała go chwilami, a obracając się do niego, przynaglała do szybszego biegu. Chwytał rozdętymi nozdrzami powietrze poranka, czuł szybkie tętno rozpedzonej krwi, mógłby tak biec bez końca. Drogomierz zaciśnięty w dłoni wskazywał trzy kilometry. Jeszcze dwa. O! nie był zupełnie zmęczony. W tem miejscu droga ginie przed oczyma, zbacza nagle i wznosi się pod górę. Najtrudniejszą część codziennej trasy. Ustami, z siłą, wyrzuca rozgrzane w płucach powietrze i chwyta świeży sycący wiew. Myśl ulatuje, nic, jeno gra stężonych i skupionych mięśni! Rozkosz!!

Ostrzegawczy, przeciągły gwizd syreny. Na wirażu, wyrzucając żwir z pod rozpedzonych kół, przesuwają się z trzaskiem i rykiem błyszcząca sportowa maszyna. Umyka, okrywając wszystko chmurką kamyków i piasku. „Iskra“ przerażona odwraca się na tylnych nogach i w dzikim galopie mknie za autem. Wylękniona Kate przypada do szyi.

— Dane! Dane! — słyszy jej płaczliwy głos — nie mogę jej utrzymać.

Odwrócił się, łapiąc powietrze wraz z kurzem i piaskiem. Oszałały koń ginał w tumanie piaszczystym. Ruszył z najwyższym wysiłkiem za nim. Był przestraszony, mogła spaść z konia, potłuc się, to było straszne. Gdyby schwycił niefortunnego szofera, poznałby smak pięści Dana Devisa.

Powoli pył opadł. Dan biegł ostatnim wysiłkiem. O! radości! Widzi „Iskrę“, a obok błyszcząca maszynę. Kierowca podtrzymuje chwiejącą się, czy słaniającą, może omdlałą Kate.

(D. c. n.).